Rok III. Kraków-Podgórze, wtorek 13 czerwca 1905. Nr 153

NOWINY DLA WSZYSTKICH

Cena numeru w poniedziałek i dni poświąteczne **2 ct.** (4 hal.)

PRENUMERATA w Krakowie i Podgórzu miesięcznie K. 1·40
za odnoszenie do domu dopłaca się 20 halerzy.
Na prowincyi miesięcznie K. 1·50
Prenumerata za granicą:
miesięcznie 1 mk. 50 fen., 2 franki 00 ct.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA: ul. Zacisze 7 (obok gmachu starostwa) Telefon Nr. 512.

Redaktor naczelny: LUDWIK SZCZEPAŃSKI.

Wiadomości ustnie, telefonicznie i listownie przyjmuje redakcya — (Telefon 512) — od godz. 7 rano do godz. 8 wieczorem. — Rękopisów nie zwraca się.

„Nowiny“ wychodzą codziennie — Cena numeru 3 centy = 6 halerzy. — W poniedziałki i dni poświąteczne 2 centy.

Rokowania pokojowe. — Zawieszenie broni.

TELEGRAMY „NOWIN“.

Londyn. Korespondent „Morning Post“ przesyła z Waszyngtonu szczegóły o rokowaniach Roosevelta z Japonią i Rosyą, które poprzedziły formalne wręczenie jego pisma z 8 b. m. do obu wojujących mocarstw. Tekst pisma ustalono na podstawie poprzednich rokowań z rządami w Petersburgu i Tokio. Rosya oświadczyła gotowość przyjęcia propozycyi Roosevelta, ale postawiła warunek, że przyjęcie dopiero wówczas może być opublikowane, aż propozycya Roosevelta zostanie urzędownie ogłoszoną. Japonia zgodziła się na to. Następnego dnia wręczyli zastępcy dyplomatyczni stanów Zjednoczonych formalnie pismo Roosevelta obu rządom i prezydent Roosevelt w myśl umowy ogłosił pismo. Rosya, przyjmując propozycye Roosevelta, nadaremnie starała się moralnie uczynić Stany Zjednoczone odpowiedzialnemi, by one przeprowadziły złagodzenie pewnych warunków, przy których Japonia chce obstawać.

Jak „Standard“ donosi z Waszyngtonu, zostanie **między Rosyą i Japonią zawarte 6 cio tygodniowe zawieszenie broni, które milcząco niejako już nastało.**

Waszyngton. (B. Reutera). Roosevelt obradował wczoraj wieczorem z zastępcą sekretarza stanu Taftem. Pełnomocnicy obu wojujących mocarstw zbiorą się w miejscu, które **zaproponuje Japonia. Przy tem zebraniu zostaną podane japońskie warunki, które następnie zostaną bezpośrednio przesłane carowi.** Jeżeli uzna je za możliwą do przyjęcia, odbędzie się później zebranie pełnomocników prawdopodobnie we Waszyngtonie, **celem ułożenia pokoju.**

Waszyngton. (B. Reutera). Odpowiedzi Rosyi i Japonii na notę Roosevelta nadeszły tu w **sobotę wieczorem.** Oba mocarstwa przyjmując propozycyę, wyraziły Rooseveltowi podziękowanie za ofiarowanie swych usług. Tekstu odpowiedzi nie ogłoszono. Jak mówią, Francya od początku popierała kroki Roosevelta i swoim wpływem na sprzymierzeńca spowodowała przyjęcie z jego strony propozycyi.

Waszyngton. Roosevelt otrzymał wczoraj odpowiedź, poczem przyjął u siebie ambasadora ros. Cassiniego i pół godziny z nim konferował. Cassini zawiadomił go o przyjęciu przez Rosyę propozycyi.

Petersburg. (Pet. aj. tel.) Rosyjska odpowiedź została wczoraj doręczoną tut. ambasadorowi amerykańskiemu.

Aj. t. ros. nazywa depeszę „Morning Post“ w sprawie publikacyi noty Roosevelta zupełnie nieprawdziwą.

Walki w Mandżuryi.

Tokio. (Urzędownie). Japończycy wyparli dn. 9 rano Rosyan z wyżyny, położonej na północ od Liangszai-tuan i zajęli ją. Tego samego dnia Japończycy obsadzili jeszcze kilka innych miejscowości na północ od Czang-czu. (*Oficyalna ta wiadomość jest w sprzeczności z doniesieniem o faktycznem zawieszeniu broni*).

Z Rosyi.

Sobor.

Petersburg. „Prawit. Wiestnik“ donosi, że za kilka dni Rada ministeryalna dokończy obrady nad regulaminem wyborczym reprezentacyi ludowej, poczem przystąpi do szczegółowych obrad nad projektem Bułygina.

Rząd zbankrutował.

Charków. Rada gospodarcza gubernii na onegdajszem swem posiedzeniu uchwaliła rezolucyę, podnoszącą, że obecny **rząd zupełnie zbankrutował** i dlatego brak mu moralnego prawa do kierownictwa polityki zewnętrznej i wewnętrznej; zażądano natychmiastowego zwołania reprezentacyi ludowej.

Aresztowania w Wilnie.

Wilno. Podczas onegdajszego posiedzenia rewolucyjnego komitetu „Bundu“ uwięziono 11 uczestników. Zgromadzenie zajmowało się programem obalenia obecnego ustroju państwa.

Demonstracye w Mińsku.

Mińsk. Onegdaj wieczorem urządzono w dwóch ulicach przeciwrządowe demonstracye przy udziale przeszło 3,000 robotników. Podczas demonstracyi dano znaczną liczbę strzałów w powietrze.

Po czterdziestu latach!

Chełm. (Pet. aj. tel.) Onegdaj, pierwszy **raz po 40 latach**, odwiedził katolicki biskup miasto. **Biskup wjechał do miasta przez wspaniałą bramę tryumfalną do kościoła. Przez całą drogę ludność (unicka) witała go nader owacyjnie.**

Zjazdy we Lwowie.

Lwów. Przez oba dni Zielonych Świąt obradował tu główny zarząd Tow. nauczycieli szkół rządowych. Przybyli w znacznej liczbie delegaci wszystkich kół prowincyi. Przewodniczył radca Emanuel Wolff. Prezesem Tow. wybrano prof. Uniw. Pazdrowskiego, zastępcą Stan. Schneidra. Wśród aklamacyi mianowano członkami honorowymi Towarzystwa: prof. Antoniego Kalinę i radcę E. Wolffa.



Dr. Flattau, dyrektor policyi krakowskiej.

Wystawa i kongres botaniczny w Wiedniu.

Wiedeń. Wczoraj nastąpiło uroczyste otwarcie międzynarodowego kongresu botanicznego w obecności ministra rolnictwa, w zast. min. oświaty dra Ćwiklińskiego, dra Luegera i w. i.

W oranżeryi Schönbruńskiej otwarto z tej okazyi wystawę botaniczną.

Fejervary w Wiedniu.

Budapeszt. Węg. b. kor. donosi z Wiednia: Bar. Fejervary był wczoraj o godz. 10 przed południem na $1\frac{1}{2}$ godzinnej specyalnej audyencyi u króla, poczem po $\frac{1}{2}$ godzinnym pobycie w kancelaryi gabinetowej, złożył wizyty hr. Gołuchowskiemu i Pietreichowi. O 5 po południu odjechał do Budapesztu.

Sojusz francusko-rosyjski.

Rennes. Minister handlu Dubief wygłosił tu mowę, w której wspomniał także o sojuszu z Rosyą i rzekł: Nie wolno nam opuszczać naszego sojusznika, mimo iż jest on chwilowo w przykrem położeniu. Francya nie jest zaczepną. Musi ona zajmować wśród mocarstw swe zwykłe stanowisko i jak przedtem i nadal, nieść pochodnię wolności.

W Marokko.

Paryż. (Aj. Havasa). Z Tangeru donoszą, że dnia 9 bm. wieczorem opadło 4 Arabów wicekonsula angielskiego i austro-węgierskiego w Mazagan (miasto portowe

w Marokko), Maddena, zasztyletowali go i okradli. Żonę jego ciężko zranili strzałem rewolwerowym. Zastępcy angielski i austryacki wystosowali do sułtana energiczny protest. Mordercy uciekli.

Londyn. „Daily Chronicle“ donosi z Tangeru: Wczoraj zamordowano tam zastępcę Raizuli. Raizula wysłał do Mazagan innego swego pełnomocnika celem ujęcia morderców wicekonsula Maddena.

Górnoślązacy w Krakowie.

W niedzielę przed południem zawitali do naszego podwawelskiego grodu drodzy nam goście: bracia ze Ślązka pruskiego i i W. Ks. Poznańskiego. Przyjechali oni dwoma pociągami o godz. 10 i 11 z różnych miejscowości, mianowicie: z Poznania, Bytomia, Gliwic, Zabrza, Katowic, Dąbrowy Górniczej i t. d., razem około 1200 osób, a byli przyjmowani przez krakowskie zjednoczone koła Tow. Szkoły ludowej. Przyjazdu oczekiwali na dworcu komitetowi z muzyką „Harmonią“, przed dworcem stało na przywitanie kilkuset Krakowian.

Wszyscy oczekują niecierpliwie. Nareszcie ukazuje się zdala pociąg i wkrótce wjeżdża na dworzec. Muzyka gra „Jeszcze Polska nie zginęła“, publiczność podejmuje śpiewem nutę i wita gości okrzykami. Z okien pociągu wychylają się rozrzewnione, załzawione ze wzruszenia oczy Ślązaków. Ze śmiałością i swobodą wysiadają, stają wśród oczekującej publiczności i witają ją serdecznie uściskiem dłoni wszak wiedzą, że nie do obcych przyjechali, ale do s w o j e g o Krakowa, do swoich w odwiedziny. Zamiast mowy powitalnej rozdano między gości ciepły wierszyk p. Jadwigi Strokowej „Radzibyśmy Was powitać!“

Po przyjeździe drugiej grupy Górnoślązaków następnym pociągiem, ustawili się wszyscy w pochód i przy dźwiękach „Harmonii“ z komitetem miejscowym na czele ruszyli ulicą Szpitalną ku Rynkowi pod pomnik A. Mickiewicza. Tutaj muzyka odegrała „Boże coś Polskę“, poczem wstąpił na stopnie pomnika p. Tadeusz Tabaczyński i imieniem komitetu i miasta przywitał ich gorącem przemówieniem, na co imieniem wycieczki odpowiedział w krótkich słowach jeden z Górnoślązaków, oświadczając, że przyjechali tutaj do Krakowa, aby nabrać siły i męstwa do dalszej walki z Prusakami.

Następnie udał się pochód do kamienia przysięgi Kościuszki, tutaj złożono wieniec i odśpiewano kilka patryotycznych pieśni.

Mszy św. wysłuchali uczestnicy wycieczki w kościele N. M. Panny, gdzie wypowiedział kazanie znany kapłan-patryota ks. kanclerz Bandurski.

O godz. 1 udało się około 300 osób z wycieczki do sali Strzeleckiej, gdzie urządzono skromny obiad. O 3 odbyło się w teatrze miejskim przedstawienie „Kościuszko pod Racławicami“, przy wypełnionej po brzegi widowni. Teatr grzmiał od oklasków, wogóle przedstawienie robiło na Ślązaków wielkie wrażenie. Gdy Kościuszko (p. Mielewski) ukazał się na scenie, zapał niezwykły ogarnął wszystkich, ogłuszającym oklaskom i szlochaniu nie było końca. Kolacya odbyła się znowu w sali Strzeleckiej o godz. 7 wieczorem, zaś o 8 przyjmowała krakowska „Eleuterya“ specyalnie około 100 abstynentów z pośród wycieczki.

W poniedziałek, w drugi dzień Zielonych Świątek, zebrali się wszyscy wczas rano w parku dra Jordana, a po śniadaniu udali się na kopiec Kościuszki. Zapowiedziane mowy: dra Jordana w parku, zaś jednego z akademików na kopcu Kościuszki, z niewiadomych powodów odpadły. Przedpołudniem i popołudniu, z krótką przerwą na obiad, zwiedzali Górnoślązacy kościoły, dalej Wawel, Skałkę, Muzeum Narodowe i Czartoryskich, Bibliotekę Jagiellońską, Akademię Umiejętności i inne osobliwości Krakowa. O 4 popołudniu odbyło się w sali Strzeleckiej zebranie pożegnalne, a o godz. 6 40 wieczór wyjechali Górnoślązacy z Krakowa, żegnani serdecznie na kolei przez liczną publiczność.

* * *

Z okazyi wycieczki Górnoślązaków w Krakowie, ciśnie się mimowoli pod pióro kilka przykrych refleksyi. Komitet zjednoczonych krakowskich Kół T. S. L. nie był najzupełniej zorganizowany. Chaos, zamieszanie, brak jednolitości i ścisłości w trzymaniu się ogłoszonego drukiem programu, dawał się na każdym kroku odczuwać najfatalniej. Brak zresztą było poprostu ludzi do pracy. Pp. komitetowi usunęli się w większości dyskretnie na bok, a wszystkiem musiało się zajmować kilka zaledwie osób, które nie mogły podołać obowiązkom, a na tem cierpieli tylko wycieczkowcy.

Przykro się nad tem rozwodzić, dość powiedzieć, że brakło dla gości obiadu, brakło noclegu, nie było komu oprowadzać ich po Krakowie. Gdzież się podziała młodzież akademicka, gdzie nasze panie, gdzież nasze mieszczaństwo? Czy to ma być tradycyjna staropolska gościnność?

Najlepszy to i nie pierwszy dowód, że wszelkie dorywczo organizowane komitety nic nigdy nie są warte, a w Krakowie konieczny jest *stały komitet obywatelski* dla przyjmowania licznych wycieczek, zjeżdżających się corocznie dla zwiedzania Krakowa.

P. Kotarbiński, dyrektor teatru, mimo usilnych próśb komitetu nie zgodził się na obniżenie cen biletów na „Kosciuszkę“, choć najpierw prawie wszystkie popołudniowe przedstawienia odbywają się przy zniżonych cenach, a choćby tak nawet nie było, to chyba godziło się dla biednych Górnoślązaków, bo w większości byli to ubodzy wieśniacy i mieszczanie, oddać bilety za zniżką. Postępek p. Kotarbińskiego chyba obywatelskim nazwać nie można.

W końcu kilka słów o naszej „Harmonii“. P. Górski sprowadził muzykantów Czechów i Niemców, poubierał ich w polskie mundury, wyćwiczył co prawda dobrze, ale nie nauczył grać polskich utworów i pieśni. Idąc na czele wycieczki Ślązaków, grała „Harmonia“ cały czas marsze niemieckie, z polskich coś tylko dwa czy trzy i to do tego fałszywie. A więc nie mogliśmy wycieczki przyjąć nawet polską pieśnią, ale kazaliśmy im słuchać szwabskich kawałków, zupełnie jak w Prusach. Wstyd!

Z. C.

Co słychać w mieście?

Kraków, 13 czerwca.

Dziś we wtorek Antoniego z Padwy. — Jutro we środę Bazylego W. — Pojutrze we czwartek Wita i Modesta.

Wtorek.

Teatr miejski: „Szczęście w zakątku“ dramat w 5 aktach Sudermana. Występ trupy poznańskiej z dyrektorem Rygerem.

Zielone Święta obdarzyły nas przedewszystkiem zimnem. To też mniej było rojno, niż po inne lata i na Bielanach i Panieńskich Skałach, a nawet na plantach. Wypadku znaczniejszego w mieście przez oba dni świąt żadnego nie było. Kronika policyjna notuje tylko kilkanaście bitek, w kilku z nich interweniowało pogotowie ratunkowe.

Z teatru miejskiego. W sobotę 17 czerwca odbędzie się w teatrze miejskim ostatnie p o ż e g n a l n e p r z e d s t a w i e n i e pod dyrekcyą p. Kotarbińskiego, na które złożą się: jednoaktowa „Helwia“ Okońskiego i kilka scen z „Horsztyńskiego“.

Od niedzieli 18 czerwca b. r. rozpoczną się w teatrze miejskim przedstawienia **operetki lwowskiej**. — P. Kotarbiński zawarł z operetką kontrakt tylko do końca czerwca; prawdopodobnie jednak umowa zostanie przedłużona na cały lipiec.

Tak więc, ku radości Krakowian, zawita przecie operetka do teatru miejskiego.

Z dyrekcyi policyi. „Wiener Ztg.“ ogłasza: Cesarz zamianował kierownika krakowskiej dyrekcyi policyi dra Flattaua radcą rządowym i dyrektorem policyi w Krakowie.

Wycieczki świąteczne. Oprócz wielkiej wycieczki Górnoślązaków, o której na innem miejscu obszernie piszemy, zwiedziły w czasie świąt Kraków liczne wycieczki młodzieży szkolnej: uczniowie gimnazyum z Rzeszowa, dalej ze Złoczowa (złożyli wieniec na pomniku Mickiewicza), następnie akademickie Stowarzyszenie „Znicz“ z Sanoka, szkoła przemysłowa z Kołomyi, szkoła z Gorlic, kilka szkół ze wsi okolicznych i t. d. — Bardzo wiele było również osób z Królestwa Polskiego. Ogółem przebywało w czasie Zielonych Świąt w Krakowie około 5 tysięcy przejezdnych.

Pożar w Rakowicach. W niedzielę wieczorem zaalarmowane było miasto łuną, widniejącą w stronie rogatki mogilskiej. Sądzono, że pali się karczma za rogatką. — Ogień jednakże wybuchł znacznie dalej, mianowicie wśród zabudowań gospodarczych p. Łakomskiego, naprzeciw przystanku „Wieczysta“, kolei kocmyrzowskiej. Spaliły się doszczętnie trzy budynki: stajnia, wozownia i stodoła; ocalał dzięki spokojnemu powietrzu i energicznemu ratunkowi dom mieszkalny murowany, gdzie znajduje się karczma pana Sporna.

Ratunkiem zajęły się bardzo energicznie oddziały dragonów z koszar rakowickich i artyleryi z Dąbia, przybyłe z sikawkami pod wodzą oficerów. Dalej przybył jeden pluton straży krakowskiej, straż ochotnicza z Krowodrzy z naczelnikiem Chwastkiem, sikawki z Dąbia, z Prądnika Czerwonego, z Rakowic i z Mogiły. — Ogień prawdopodobnie został podłożony i żandarmerya śledzi za sprawcą. Budynki były asekurowane.

Różne wiadomości.

Z krainy eskimosów. Jeden z podróżników amerykańskich, który przez czas dłuższy bawił w Grenlandyi i zbadał szczegółowo życie eskimosów, opowiada o nich w sposób nadzwyczaj zajmujący. Eskimos nie odznacza się buj ą fantazyą, ale ma silnie rozwinięty zmysł spostrzegawczy. Pomimo ciężkich warunków życia, humor jest zwykłym objawem u każdego niemal eskimosa, a śmiech głośny często rozlega się wśród olbrzymich przestrzeni lodowych. Wbrew ciszy, jaka panuje w Grenlandyi, eskimosi są bardzo gadatliwi i lubią opowiadać o swych przygodach, w które zresztą nie należy zbyt wierzyć. Wieczorami zbierają się w swych lepiankach z śniegu i opowiadają. Za najlepszego „bajarza“ uchodzi ten, który tak długo umie opowiadać, aż wszyscy posną. Nazajutrz składają wyrazy uznania bajarzowi, największym zaś objawem tego uznania jest zapewnienie, iż nigdy jeszcze tak smacznie nie spali, jak ubiegłej nocy.

Wydawca: Lucyna Szczepańska. Odpowiedzialny redaktor: Ludwik Szczepański. Z drukarni Józefa Fischera w Krakowie.

M. GORKIJ.

Opowiadanie pana Filipa.

Siedziałem w ogrodzie miejskim na ławce pod drzewami, wiatr gniewnie potrząsał czarnemi mokremi gałęziami nad moją głową i zrywając ostatnie liście, unosił je pod górę ku szerokiej, mętnej rzece, a rzeka dyszała w niebo wilgotnem zimnem.

Za rzeką, w żółtym aksamicie zblakłej trawy, błyszczało maleńkie jezioro, w którem smutnie odbijało się mgliste niebo jesieni. Słońce dawno spuściło się za ciemną ścianę dalekiego lasu i różowa smuga zorzy, wśród ciężkich ołowianych chmur, wydawała się potokiem w cieśni górskiej.

— Proszę pana... — szepnął ktoś koło mnie.

Odwróciłem się — koło ławki stał wysoki, nędznie odziany młody człowiek; szum drzew zgłuszył jego kroki, więc nie słyszałem, kiedy podszedł.

— Daj mi pan na kawałek chleba! — rzekł zniżając głos. Głowa mu opadła na piersi, cofnął się o krok,

kapelusza nie zdjął jednak. To mi się podobało. W milczeniu włożyłem rękę do kieszeni.

— Niewiele! — szybko uprzedził nieznajomy i dumnie podniół głowę. — Pan myślisz, że jestem żebrak? Nie... po prostu nie mam roboty... jestem bardzo głodny... Wierzy pan?

— Wierzę — odrzekłem.

Twarz miał kanciastą, oczy duże, zlekka szare, głęboko osadzone pod wysokiem czołem.

— Dziękuję — odrzekł posępnie, przyjmując pieniądze długą ręką, drżącą z zimna czy wstydu. — Dziękuję, pójdę jeść.

Wstałem i poszedłem obok niego. Coś mi się w nim podobało, wzbudzał we mnie ciekawość, więc też zapytałem:

— Czy nie mógłbym być panu w czemś pomocny?

— Niech mi pan znajdzie pracę! — szybko zawołał. — Może pan?

— Spróbuję...

— Stęskniłem się za pracą, jak za chlebem — mówił idąc obok mnie. — Ciężko i wstyd mi prosić.., mogę przecież pracować! Ale w tem mieście — więcej jest ludzi, niż pracy... jak wszędzie! — Uśmiechnął się.

— Jak się pan nazywasz? — zapytałem.

— Platon Bagrof... Jestem, widzi pan, chłopem, skończyłem szkółkę wiejską, uczyłem się dobrze, a nauczycielka mnie bardzo lubiła... Udało się jej namówić staruszkę właścicielkę majątku do oddania mnie do gimnazyum.

Pod oczami miał wielkie ciemne plamy. Chrząstkowaty, zgarbiony nos posiniał mu z zimna. Młodzieniec

wsunął ręce w kieszenie starych spodni, zgiął grzbiet i wstrząsał szerokiemi ramionami. Lekki żakiecik zapięty pod szyję, wysokie znoszone buty i stary zmięty kapelusz czyniły go podobnym do kataryniarza. Mówił spokojnie, bez smutku, bez skargi w głosie i tak, jak gdyby sam uważnie przysłuchiwał się swej mowie i kontrolował ją.

— W gimnazyum byłem 4 lata; kiedy siedziałem w drugiej klasie, zmarła matka; zabłądziła w polu i zamarzła: ojciec zmarł przedtem, a kiedy przeszedłem do 4 klasy, zmarła ta obywatelka. Spadkobiercy jej nie chcieli już płacić za mnie, więc trzeba było wystąpić z gimnazyum. W ten sposób skończyło się moje wykształcenie.

Jakaś pani mijając, popchnęła go — szybko podniósł głowę, spojrzał na nią, podniósł rękę do kapelusza i głucho rzekł:

— Przepraszam!

Dama nie obejrzawszy się poszła dalej.

Towarzysz mój ścisnął wargi, a potem uśmiechając się, powiedział:

— Jak ludzie przyzwyczaili się popychać jeden drugiego... jak gdyby — popchnąć, to nic nie znaczy.

Weszliśmy do jadłodalni i zajęliśmy stolik w kącie małego pokoiku przekopconego tytoniem. Ja poprosiłem o piwo, on zaś w oczekiwaniu na zamówione jedzenie, opowiadał mi półgłosem, oglądając się dokoła:

— Z początku mieszkałem u jegnego gimnazyalnego stróża, potem stróż ten dopomógł mi do otrzymania „posady" chłopca w sklepiku kolonialnym, lecz ponieważ gospodarz mój był pijakiem i awanturował się, więc uciekłem od niego...

Posługacz postawił na stole talerz z chlebem. Platon natychmiast wziął kawałek, lecz ręka mu dziwnie drgnęła, szybko spojrzał na mnie, położył chleb i mówił w dalszym ciągu ze spuszczoną głową:

— Wtedy miałem lat 14, obecnie mam 19, za dwa lata trzeba iść do wojska. W ciągu 5 lat bardzo dużo widziałem, mieszkałem w różnych miastach, pracowałem przy kanalizacji, u ogrodnika, byłem woźnym w redakcji pewnej gazety na południu, łowiłem ryby na morzu Azowskiem, byłem i nad morzem Kaspijskiem — doświadczyłem wiele! Patrzałem, myślałem... i — wie pan doszedłem do wniosku, że życie jest urządzone źle!

Posługacz przyniósł misę czegoś mętnego z ostrym zapachem. Platon głęboko i łakomie wciągnął nosem powietrze, podsunął do siebie miskę obiema rękami, i, nie przerywając opowiadania, zaczął nalewać zupę na talerz.

— Bardzo lubię czytać; wziąłem sobie za zasadę — trzecią część zarobku wydawać na książki... Po przeczytaniu, naturalnie, książkę sprzedaję... żal mi jej zawsze, lecz przecież nie sposób nosić książek ze sobą. Nie lubię siedzieć na jednem miejscu... chce się widzieć jaknajwięcej, chce się być wykształconym... wszystko rozumieć...

— Być wykształconym — jest to piękne życzenie, ale, zdaje mi się, dla zadosyćuczynienia mu trzeba długo siedzieć na jednem miejscu. Jednak — jedz pan! — rzekłem, widząc jak rozdymają się mu nozdrza, wdychając zapach pokarmu.

Uśmiechnął się i zaczął jeść, napróżno starając się ukryć przedemną chciwość głodu.

Nieco dziwnem było wrażenie, jakie miałem podczas słuchania prostego opowiadania jego, opowiadania, w którem dźwięczał jakiś niepochwytny rytm i powaga głęboka, zdawało się, zupełnie niewłaściwa dla lat młodzieńca. Widać było, że nieco pozował i spieszył się pszekonać moie o swej inteligencyi. Teraz widząc, z jaką ostrą chciwością je, starałem się nie patrzeć nań, by go nie detonować, i oglądałem pokój.

W przeciwnym kącie siedział, zsunąwszy czapkę na tył głowy jakiś telegrafista. Oparł się piersiami o stół i posępnie przyglądał się stojącej przed nim półbutelce wódki. Nad nim latały wielkie czarne muchy, napełniając powietrze niezadowolonem i niespokojnem brzęczeniem, plątały się w zapylonych listkach kwiatów na oknach i tępo uderzały się o szyby. W pokoju zapanował duszny zapach tytoniu, kwaszonej kapusty, geranium i wódki.

Wszedł jakiś wysoki człowiek, siadł za stolikiem naprzeciwko telegrafisty, w milczeniu nalał sobie kieliszek wódki, wypił, starannie oblizał swe rude wąsy i basem zapytał:

— Jak się masz?

Telegrafista oparł się o poręcz krzesła, uderzył pięścią w stół i gniewnie odrzekł:

— W takiem jestem usposobieniu, że tylko szyby rozbijać!

— Poskarż się; — poradził rudy, nalewając sobie jeszcze wódki.

— Do dyabła! Wszyscy skarżą się... a kto słucha?

Platon uśmiechnął się, spojrzał na mnie i cicho szepnął:

— Ja sam nie piję, ale bardzo lubię siedzieć w traktyerniach. . jest to ciekawe! Zawsze można podsłuchać jakieś oryginalne słowo, pochwycić myśl...

— Wszystko to jest dziwaczne i nudne — odrzekłem. — Jeśli pan lubisz czytać, to czytaj pan jak najwięcej, przecież w książkach znajdziesz pan myśli cenniejsze, niż w szynku, czyż nie tak?

— T—tak, naturalnie! — nie odrazu jakoś zgodził się on i po chwili dodał: — chociaż, wie pan, jak się czasem pomyśli, to pod dziwacznemi słowami dostrzega się nieraz tę samą myśl, którą się wyczytało w książce. Wtedy i książce więcej się wierzy i ludzie wydają się być lepszemi... rozumniejszemi...

— Miał pan znajomych z inteligencyi? — zapytałem.

— Tak, miałem... Kiedy pracowałem w redakcyi współpracownicy traktowali mnie bardzo dobrze, dawali mi książki... pozatem miałem w Rostowie znajomego, był to stolarz, ale bardzo wykształcony człowiek, miał całą biblioteką — mówił zwolna Platon.

Sytość go rozmarzyła; chciało mu się widocznie spać; oczy mu zmętniały. Wstałem, dałem mu swój adres, powiedziałem, by zaraz jutro przyszedł do mnie i wyciągnąłem doń rękę. Uścisnął ją mocno i skinąwszy głową, rzekł:

— Dziękuję!

Nie zauważyłem, by był wzruszony mojem zachowaniem się względem siebie i, chociaż, rozumie się, nie oczekiwałem wdzięczności, jednak, obojętność ta — lub coś w tym rodzaju — nie bardzo mi się podobała

Wszyscy powinniśmy wyświadczać jedni drugim usługi wzajemne, to jest niezbędne w życiu gromadnem.

Kiedy wyszedłem na ulicę, było już ciemno. Długi sznur latarń, błyszcząc ciągnął się w mrok, dął wicher, płomyki drgały...

— Jemu jednak musi być zimno w lekkim żakieciku — pomyślałem o Platonie Bagrowie.

* * *

Udało mi znaleźć dla Platona miejsce stróża w domu mego znajomego, bardzo miłego staruszka; kilka lat temu zrzekł się on wykładów w uniwersytecie i obecnie skromnie pędził żywot w odpoczynku, zajęty badaniami nad jakimś pasożytem pszenicy.

Domek jego był mały, lecz milutki, stał na skraju miasta i latem otoczony ze wszech stron staremi lipami, spowity w gęste fale bzów i akacyi, spoglądał z morza zieleni jak gościnna, cicha i czysta wyspa.

Profesor miał córkę — młodą dziewczynkę z niebieskiemi oczyma i dźwięcznym śmiechem, wesołą, rozpieszczoną i lekkomyślną. Grała nieźle na fortepianie, rysowała, czytała utwory literatury pięknej i zawsze nosiła białe sukienki: było jej w nich do twarzy, jak brzózce w jej białej korze. Otaczały ją zawsze przyjaciółki, tak samo wykwintne jak ona; w domu ich często bywali studenci, dobrze wychowani młodzieńcy, zachwycający się sztuką.

Wpokoju parterowym co wieczór gwarno było i wesoło, młodzież grała, spierała się, czytała wiersze, tańczyła, a stary profesor siedział gdzieś w kącie i gładząc

siwą brodę, uśmiechem witał wesołość młodzieży. Wszystko tam było wesołe, przyjemne i pozbawione przymusu.

Często bywałem w tym domu i za każdym razem widywałem Platona. Teraz twarz jego ogorzała, plamy pod oczami znikły. Nosił gruby czarny kaftan na koszuli kolorowej, czarne szarawary i wysokie buty skórzane. Tym nie zbyt zwyczajnym ubiorem chciał widocznie podznaczyć osobę swą w oczach ludzi. Wysoki i kościsty, kanciasty w ruchach, miał ciemne, krótkie włosy, które się trochę kręciły; oczy jego patrzały rozumnie i spokojnie, a na twarzy rozlany był spokój znamionujący siłę.

Widząc mnie w pokojach, przyjaźnie i w milczeniu kiwał głową — miał tyle taktu, że nigdy nie zaczynał ze mną rozmowy w obecności gospodarzy; czując widocznie, że postawiłby tem mnie a także i siebie samego w położeniu niewygodnem wobec nich.

Spotykając go jednak na dworze, sam na sam — podawałem mu rękę i rozpoczynaliśmy rozmowę.

— No jak wam się tu podoba, Platonie?

— Tak sobie! — odpowiadał dobrodusznie. — Czasu wolnego nie tak dużo, jak przypuszczałem, mimo to jednak mogę czytać... Przypuszczam, że wiele dobrego wyniosę z tego domu. Wiele widzieć, czuć, pracować, myśleć — oto życie! Prawda?

— Tak, tak! — potakiwałem, zachwycając się jego ożywieniem. — A co najważniejsza, czytajcie jaknajwięcej dobrych książek... No, a jak się wam podobają gospodarstwo?

— Dobrzy bardzo muszą być ludziska... już samo